

Ich dwudzieste żniwa

Do roku 1950 na ziemiach zachodnich osiedliło się 368 500 Wielkopolan, z tego 163 000 na wsiach. Wieś zielonogórska liczyła najwięcej, bo 67 000 ludzi z naszego województwa. Nieco mniej, bo 47 000 orało, siało i żniwowało na polach województwa wrocławskiego, 21 000 — w Szczecińskim, 14 000 — w Koszalińskim.

Wówczas byli młodzi, pełni inicjatywy i zapału, szukali dla siebie wygodniejszego miejsca pod przesunięciem na zachód polskim niebem. Ciągłymi ich i patriotyzm, chęć zadokumentowania pracą związku z przywróceną krajowi ziemią. Mieli już swoich emisariuszy na tych terenach — od pokoleń zasiedziały Polaków: wywiezionych przymusowo przez władze okupacyjne rodaków, którzy czuli się tu pewniej niż od wieków niezadowolonych kolonizatorów. Ci ostatni przed nadiągnięciem Armii Radzieckiej i Wojskiem Polskim zwinęli manatki i uciekli. Parobcy zostali — ale już jako gospodarze. Niektórzy z początku wybierali w gospodarstwach, ale potem jedna orka i siew zatrzymywały do czasu sprzętu. Z kolei trzeba było poprowadzić podorywki, młócić i... znowu siał.

Wybraliśmy się w odwiedzin do naszych „wychodźców” po odpowiedzi na wiele pytań: jak gospodarzą, jak czują się w nowym środowisku,

czy żyli się z innymi osiedleńcami itd.

Opalewo — to nieduża wieś w powiecie świebodzińskim (woj. zielonogórskie). Czerwone zabudowania gospodarskie, obramowane zielenią sadów, otaczają wieńcem staw. Dzieci baraszkujące na brzegu. W domach i na podwórzach pusto. Napotkana żona sołtysa radziła pojechać na pole.

Za wsią, tuż przy boisku sportowym, dudnił traktor, terkotała snopowiązałka. Brzęgi łańa rzepakowe go ścinał kosiarz o opalonej i niemłodej twarzy.

Jak okazało się w rozmowie — eks-Wielkopolanin. Do 1927 roku pracował na 5-hektarowym gospodarstwie rodziców w Lubasz w Międzychodzkim. Potem służba wojskowa i praca w Poznaniu przy budowie elektrowni. Tu urodziło mu się 6 dzieci. W 1946 roku przybył do Opalewa na gospodarstwo. Z tęsknoty za polem? Być może. Żona przecież także z gospodarstwa, ze Zbrudzewa pod Sremem.

Oprócz gromadki dzieci przywieźli tylko ręce i dobre chęci. Z niemiecką brzmiące nazwisko Menefeld — jakoś mu nie odpowiadało. Przybrał polskie: Maciejewski. Ten był rolnik z Poznania, teraz gospodarz, musiał przypomnieć sobie wiedzę rolniczą, jaką wyniósł z rodzinnego domu, wiele rzeczy uczyć się, przyswajać.

Nie był sam. Oprócz niego 13 rodzin z Wielkopolski obrało sobie tę wieś na dobrą i złą dolę: m. in. Józef Cichy z Sędzin w powiecie szamotulskim, Jan Stawniak z Ratynia w powiecie konińskim, Stanisław Na wrocki ze Świerczyny w Kaliskim, Marianna Bosa z Grabowic pod Kościanem, Józef Piątek z Kiepin pod Wolsztynem, Jan Śliwa z Zakrzewka w nowotomyskim powiecie. Ten tu w okresie okupacji był parobkiem i — został.

Początek nie był łatwy. Nie znali dobrej ziemi, brak było narzędzi, a przede wszystkim inwentarza.

— Pożyczyłem od krewniaka pieniądze na kupno krowy. Ale cena z 30 000 podskoczyła do 60 000 ówczesnych złotych. Kupiłem więc na początek kozę.

Tak samo borykali się inni. Najgorzej bodaj wiodło się repatriantom. Spróbowali zespolowej gospodarki. Szło i nie szło. Jakoś nie byli jeszcze zgrani. Rozwiązali spółdzielnię. I znowu od nowa. Pracy przybyło. Budynki trzeba było reparaować, sprzęt domowy uzupełnić, powiększyć inwentarz.

Były to kłopoty wszystkich. I to ich łączyło coraz bardziej. W pierwszych latach prym w urodzajach wiedli Wielkopolanie. Imponowali innym gospodarnością, dobrą organizacją pracy. Teraz już nie. Taki na przykład Feliks Bała z Lubelskiej

go, dziś przoduje. Na 5 morgach założył uprawę truskawek. Skalkulował, że żyto nie tak bardzo popłaca. W tym roku samego kontraktowane go rzepaku wieś zasiała 80 ha.

Maciejewski na 14 hektarach ziemi trzyma 10 sztuk bydła, 2 konie i żrebacka, 15 świń, 10 owiec. A ten traktor ze snopowiązałką — to z Kółka Rolniczego, które ma trzy ciągniki. 4 rolników (w tym 1 z Wielkopolski) nabyło własne traktory. Bez pomocy traktorowej Kółka, większość gospodarzy nie uporałaby się w tym roku ze żniwami.

Wielkopolanie nie stanowią tu osobnej grupy. Stopili się wraz z innymi w jedną społeczność. W Kółku Rolniczym są ci i ci, w organizacji partyjnej i w Kole ZSL — tak samo. Szkoła i przedszkole również łączy.

Wieś rodzinna pozostała tylko w pamięci. Maciejewski był w Lubasz przed 5 laty. Na pogrzebie matki. Potem wszystko się urwało. Opalewo dla jego 5 dzieci (razem ma jedenaścioro) to wieś rodzinna. Tu się urodzili. Starsze pracują w różnych miejscowościach Ziemi Lubuskiej. To też Lubuszanie.

Traktor podjeżdża ze snopowiązałką. Na ściernisku kładzie się snop za snopem. Ciężkie. Urodzaj dobry. Zegnamy się, przekazując sobie wzajemnie życzenia powodzenia. Lubuszanin nie z urodzenia ale z pracy i — Wielkopolanin.

Barbara Mosiężna

Akcja lato

Deszcz przestał wreszcie padać. Nadmorska osada ożyła się natychmiast ruchem letników, ubranych jednak raczej jesienią. Wśród nich leniwie i beztętnie snuły się z krawca na krawiec grupy dzieci nie wiedzące co ze sobą począć. Ich ubrania nie były dostosowane do nadmorskich chłódów. Kuliły się więc po kilkoro znudzone i zmarznięte. Wśród nich ubrane w grube swetry, gawędzili z ożywieniem dwie opiekunki, nie odczuwające widać ani nudy, ani chłodu. „I to ma być kolonia?” — dogadywali letnicy.

W dużym namiocie — świetlicy zebrali się uczestnicy obozu „Pokolenie”. Komendant zarządził zmianę programu dnia. Z powodu deszczu. Może się do popołudnia wypada i będzie wtedy można popływać po jeziorze. W namiocie jest przytulnie, na tle jednostajnego szmeru deszczu gawęda nabiera swoistego uroku. Poza tym temat jest pasjonujący. „O postawach współczesnej młodzieży”. Młodzi robotnicy —



Ostatnio w Tatrach zapanowała prawdziwie zimowa aura. Cały fałszywy górski pokrywa śnieżna szala. Sierpniowi turyści i czasowicze myślą raczej o narciach niż o korzystaniu z ciepłych promieni słońca. Na zdjęciu: na drodze do Morskiego Oka.

CAF — fot. Olszewski

organizowanie wypoczynku wakacyjnego dla dzieci i młodzieży. Robi to w przeświadczeniu, że pieniądze wydane na ten cel, są wydatkiem jak najbardziej celowym, przynoszącym z jednej strony korzyści dzieciom i młodzieży, z drugiej społeczeństwu, dorabiającemu się przez realizację odpowiedniego systemu wychowawczego (a akcja letnia jest jego składnikiem i bardzo cennym elementem) pełnowartościowych obywateli.

Wiele błędów w systemie organizowania obozów i kolonii wynika jeszcze z fałszywego pojmowania istoty wypoczynku. Niektórzy rodzice i wychowawcy mniemają, że polega on na całkowitej lub maksymalnej bezczynności. Tymczasem, jak wiadomo z doświadczeń psychologów, aktywny wypoczynek, oparty na zasadach terapii zajęciowej, najbardziej odpowiada psychice dzieci i młodzieży. Odciąża on pewne, wyczerpane dotychczasowym trybem życia ośrodki nerwowe przez czynne zaangażowanie innych, a więc przez zmianę trybu życia. Aktywny wypoczynek stwarza też najlepsze warunki dla kształtowania moralnej i ideowej postawy dzieci i młodzieży, a sprawa ta poza wypoczynkiem jest najważniejszą w realizacji celów i zadań kolonii i obozów.

Dokończenie na str. 2



Antoni Maciejewski z Lubosza w pow. międzychodzkim, od 1946 — rolnik w Opalewie pow. świebodzińskim, od 1949 — sekretarz podziałowej organizacji partyjnej.

Fot. — K. Przychodzki

Uniwersytet im. Fryderyka Schillera w Jenie, jeden z głównych ośrodków myśli naukowej i ruchu umysłowego w Niemieckiej Republice Demokratycznej, gościł niedawno religioznawców, socjologów religii i teoretyków ateizmu z europejskich krajów socjalistycznych. Z inicjatywy katedry naukowego ateizmu, istniejącej przy uniwersytecie (jedynej tego rodzaju w NRD), odbyła się tam konferencja naukowa, poświęcona omówieniu problemów związanych z rozwojem socjologii religii, badaniem procesów laicyzacji i krzewieniem myśli ateistycznej. Uczestnicy kolokwium dużo uwagi poświęcili również teoretycznej analizie aktualnych stosunków wyznaniowych w krajach socjalistycznych.

Na konferencję przyjechali religioznawcy z Polski, ZSRR, Czechosłowacji, Węgier, Jugosławii i Bułgarii. Obecni byli oczywiście religioznawcy z NRD.

Inicjatywa zwołania konferencji okazała się nadzwyczaj trafna. Systematyczne badania socjologiczne religijności oraz procesów laicyzacji podjęte zostały w europejskich krajach socjalistycznych dopiero przed kilku laty. Przypaść trzeba, że krajom najbardziej zaawansowanym pod tym względem jest Polska. Złożyło się na to cały szereg czynników. Przede wszystkim w Polsce problem religijno-wyznaniowy jest

Stanisław Markiewicz

O religii — w Jenie

wciąż jeszcze istotnym problemem społecznym, co w większym niż w innych krajach socjalistycznych stopniu pobudzać musiało do podjęcia badań systematycznych. Ponadto w Polsce marksistowska socjologia religii opiera się na bogatych, kilkudziesięcioletnich tradycjach — dość wspomnieć o pracach badawczych Ludwika Krzywickiego i Stefana Czarnowskiego. Dorobek przeszłości na pewno ułatwia prowadzenie badań współczesnych. Wreszcie w Polsce przynajmniej od dziesięciu lat intensywnie rozwijane są socjologiczne badania wsi, miasta, przemysłu, pracy, kultury masowej itd. Pod tym względem Polska znalazła się, jak wiadomo, w czołówce światowej. Stwarza to szczególnie sprzyjające warunki dla podejmowania owocnych badań socjologicznych religii i obiektywnie uwarunkowanych procesów laicyzacji, ponieważ rezultaty badań różnorodnych dyscyplin socjologii ujawniają różne aspekty przeobrażeń zachodzących w dziedzinie światopoglądu i świadomości społecznej ludzi.

Podczas spotkań w Jenie wygłoszono kilkanaście niezwykle intere-

sujących referatów. Nie sposób w krótkiej publikacji prasowej omówić dokładnie ich treści, ograniczyć się zatem do zwięzłej relacji o niektórych tylko fragmentach przemówień.

Prof. dr Olaf Klohr z uniwersytetu w Jenie mówił m. in. o podję-

Korespondencja własna z NRD

tych przez jego katedrę badaniach nad przemianami światopoglądowymi społeczeństwa miasta Jeny. Przy okazji dowiedziałem się, że w NRD nadal prowadzi się ścisły urzędowy rejestr wyznaniowy, ustanowiony w Niemczech przed kilkudziesięciu laty. Każdy obywatel obowiązany jest do ścisłego określenia swojej przynależności wyznaniowej, lub też bezwyznaniowości. W przypadku jeśli np. występuje z Kościoła katolickiego i wstępuje do Kościoła ewangelickiego musi o tym fakcie powiadomić władze państwowe, które wprowadzają odpowiednie zmiany w rejestrze. Tak samo, jeśli

ktos decyduje się na całkowite wystąpienie z takiego lub innego Kościoła, przepisywany jest z rejestru wyznaniowego do rejestru bezwyznaniowego.

Mogłoby się wydawać, że w tej sytuacji badania socjologiczne postaw światopoglądowych są znakomicie ułatwione, skoro prowadzona dokładnie statystyka wyznaniowa jest punktem wyjścia badania, a nie jego rezultatem. Przy bliższym poznaniu sprawy okazuje się jednak, że dla socjologów są to ułatwienia pozorne. Bo oto np. rejestr w Jenie wykazuje, że 50 proc. mieszkańców miasta to bezwyznaniowcy, 47 proc. należy do Kościoła ewangelickiego. Rejestr nie mówi jednak o tym, ilu jest w Jenie wierzących a ilu niewierzących. Oczywiście, większość członków Kościoła to są wierzący, natomiast większość bezwyznaniowców to są niewierzący; w każdym razie linia podziału nie biegnie według rejestrów. Zagadnieniem istotnym w badaniach socjologicznych w Jenie jest m. in. wyjaśnienie tego zjawiska. Na wyniki tych badań, które podjęte zostały niedawno, trzeba będzie poczekać.

Niektóre problemy związane z metodologią socjologii religii przedstawił w interesującym referacie prof. Ugrinowicz z Moskwy. Przypomniał on, że z religią jako światopoglądem wiąże się cały kompleks zjawisk, takich jak: religijne organizacje i instytucje, religijne formy więzi społecznej, kult i obrzędy oraz ludowe zwyczaje i obyczaje. Zda-

niem prof. Ugrinowicza w badaniu procesów laicyzacji zbyt dużo uwagi poświęca się zewnętrznym formom przejawiania religijności i często zapomina się o tym, że wiara zanika, lecz przeżywanie do kultu i obrzędów — u ludzi faktycznie niewierzących — pozostaje. Uwzględnienie tego faktu ma niezwykle doniosłe znaczenie zarówno teoretyczne, jak i praktyczne. Chodzi m. in. o to — dowodzi prof. Ugrinowicz — że kult i obrzędy uprawiane przez niewierzących tracą swój dotychczasowy sens, stają się zjawiskiem orderwanym od religii w ścisłym tego słowa znaczeniu, mogą przybierać charakter świecki. Ozdabianie choinki dla dzieci — mówił prof. Ugrinowicz — było kiedyś w Rosji czynnością religijną. Dzisiaj w ZSRR nawet ludzie dorosli w ogóle nie wiedzą o tym, że choinka — sprawiająca dzieciom tak wiele radości — była dawniej symbolem religijności i przedmiotem religijnego obrzędu.

Tezy prof. Ugrinowicza wywołały wiele polemik i głosów kontrowersyjnych, mówca zdołał jednak swe twierdzenie obronić.

Mogłoby jeszcze przytoczyć dziesiątki niezwykle interesujących fragmentów referatów i wypowiedzi w dyskusji, świadczących o tym, że ruch umysłowy w środowiskach religioznawców w krajach socjalistycznych rozwija się obecnie szybko i owocnie, że wysuwane są różnorodne problemy dyskusyjne, które aktywność myśli religioznawczej ożywiają.

Cowboy spod Giewontu

— Chodźmy do kościoła. Tam na pewno zobaczy pan, to po co pan przyjechał — powiedziałam do Amerykanina, którego pilotowałam po Polsce.

Poszliśmy do farnego kościoła. Akurat dzwony były na sumę.

— Stańmy przy wejściu. Tu będzie najlepiej widać — poradziłam. Stańmyśmy w kruchcie, ogarniając wzrokiem nawę.

Przez chwilę oczy nasze błądziły po tłumie wiernych, ale zaraz spotkały się: spojrzeliśmy na siebie z tym samym wyrazem zdziwienia. Nie było tu bowiem tego, czegośmy się spodziewali.

— Zupełnie tak, jakbym się przebiegł do Detroit — szepnął mi w ucho Amerykanin.

— Dlaczego? Tu, w sercu Tatr? — spytałam.

— Niech pani spojrzysz — wskazał głową pochylony zbożnie tłum. Na ich ubrania.

Spojrzałam. Powiodłam wzrokiem po dzieciach przy głównym ołtarzu, po starcach w ławkach pod amboną, po młodzieży grupującej się z boku pod filarami. I zrozumiałam. Albo MHD albo... ciuchy! Większość ludzi ubrana była po miejsku. Zaś wiele kobiet miało na sobie charakterystyczne amerykańskie sukienki o fantazyjnych zamkach, dziwacznych guzikach i nie płowiejących kolorach. Dziewczynki strojne były

w lakierki i sztywne nylonowe spodniczki, a na głowach górali, zamiast dawnych kapeluszy z wiankiem muszelek, spoczywały połyskliwe panamy. Co do portek, to młódz prezentowała najświeższy krój teksasów z wszelkiego rodzaju naszytami, napisami, wisiorami.

Zrobiłam wysiłek (czego się nie robi dla cudzoziemców dolarowych!) i wyłowiłam w tłumie autentyczną parę góralską w całej gali przepiśnawych atrybutów. Pociągnęłam w tę stronę Amerykanina. Niech ma, czego chciał! Żeby go pocieszyć, o-

Polowanie na folklor

biecałam mu pokazać wesele góralskie. Byle się tylko nie zechcieli ubrać jak do kościoła!

Pokaz amerykańskiej mody w kościele nasunął mi jednak inną myśl, bardziej prywatną. Bo przecież Podhale słyne z ciuchów. Bo tu właśnie zjeżdżają po nie eleganci z wielkich miast. Podobno można tu kupić za bezcen to, za co w Warszawie płaci się trzy razy drożej.

Złudzenia rozwiała recepcjonistka w hotelu. Zapytana przeze mnie o dzień targowy w Nowym Targu, powiedziała:

— Pani pewnie na ciuchy? Nie warto. Teraz to już nędza! A jakie ceny? Trzeba było przyjechać daw-

nymi laty. Było w czym przebierać! Górali nie wiedzieli, co z tymi panami, co do nich z Ameryki szły, robić. Niosły na targ i sprzedawały na pęczki jak jarzyny. A teraz same się to stroją.

Na przykładzie niedzielnej sumy potwierdziłam w myśli prawdziwość tych danych, niemniej jednak w najbliższy czwartek udałam się rannym do Nowego Targu.

Gdy tylko znalazłam się na targowisku, poczułam się jak na ciuchach w... Warszawie. A gdy jeszcze znalazłam sukienki opasane jełkowską zagadką do mnie nadwieszoną gwarą: „Kochana, co pani uważa?”, byłam już w domu. Ceny też nie różniły się niczym od warszawskich, katowickich czy gdańskich.

Pierwszą z brzegu handlarke zapytałam o pochodzenie. „Panjusi, swój swego pozna. Ja też z Warszawy” — odparła.

— A inne?

— Inne różnie. Z Suchej, z Krakowa...

W każdym razie, są to zawodowe handlarke ciuchowe. Towary kupuje się więc nie z pierwszej ręki, tylko poprzez łańcuch pośredników, które mocno trzymają rękę na pulsie podaży i popytu, regulując w ten sposób ceny. „Epoka ciuchów i epoka folkloru umiera” — pomyślałam melancholijnie. Ludność, dążąca do zatarcia różnic między miastem, a wsią w sposobie życia i obyczajach, zaczyna coraz gremialnie ubierać się z miejska. Wyroby wielkich fabryk odzieżowych, wypierają krosna i warsztaty z zagrod wiejskich. A na Podhalu konkurentem GS jest ciuch „made in USA”.

Witryna „Czytelnika”

Po krótkim okresie wydawniczej posuchy, znów zapelniają się półki księgarskie. Szczególnie dużo pozycji wyrzucił na rynek w ostatnim czasie „Czytelnik”.

Zacząć pragnę od pochwały „Warszawskiej niedzieli” Władysława Kopalińskiego, mieszczące wybór felietonów tego autora, publikowanych na łamach „Życia Warszawy”. Zbigniew Bienkowski pisał kiedyś w „Twórczości”: „Nasze pisma codzienne mają jednego felietonistę. Jednego, ale znakomitego: Władysława Kopalińskiego. Kopaliński wypracował nowy typ felietonu. Może należałoby to inaczej sformułować: przywrócić felietonowi dziennikarskiemu jego świetność. Jest to miniatura eseistyczna...” „Może się tylko w pełni podpisać pod tymi słowami i dodać, że choć wybór obejmuje teksty z lat 1957—1964, nic tu nie zwierztało, wszystko jest aktualne, piekielnie inteligentne, dowcipne i niekiedy złośliwe. Wspomniała lektura.

A oto publicystyka na tapecie. „Świat zdaje egzamin” Grzegorza Jaszuńskiego. Jest to ze swada i świetnym zawnstiem przeprowadzona próba ukazania obrazu stosunków międzynarodowych powojennego dwudziestolecia. Mówi się często, że młode pokolenie nie zna tych albo innych faktów. Ale i my, starsi, którzyśmy bezpośrednio przeżywali opisywane przez Jaszuńskiego zjawiska, wiele spraw widzimy jakby od nowa przypominanych, na domiar zweryfikowanych przez życie. Ten tom to świetna zarazem encyklopedia głównych politycznych wydarzeń, w dodatku suto przybrana ilustracjami.

A teraz kilka najciekawszych nowości beletrystycznych. Ciekawa i w problematyce i w swoim klimacie moralnym jest powieść młodego jeszcze pisarza niemieckiego Siegfrieda Lenza „Cale miasto mówi...”, poruszająca zagadnienie ruchów oporu w krajach okupowanych przez Niemcy hitlerowskie. Akcja utworu dzieje się w Norwegii, ale autor zdaje się uogólniać zjawisko, na co wskazywałoby zwrócenie uwagi na zjawisko przede wszystkim moralno-etyczne. Lenz

(zresztą urodzony w Elku na Mazurach) przebywa w NRF. Powieść jego jest szczególnie charakterystyczna dla widzenia pewnych istotnych zjawisk minioniej wojny oczyma wrażliwego Niemca.

Trudnych, często bolesnych zagadnień w interesujący i warsztatowo i niewątpliwie odważa pisarską sposobem dotyka Maria Klimas-Białutowa w nowej swojej powieści „Dziewczyna z wieży Babel”. Bohaterka jest młoda dziewczyna, Ślązaczka, borykająca się z niełatwymi problemami narodowościowymi, nadmiar uwikłana w ciężkie konflikty jeszcze z okresu wojny. Jest to powieść o szukaniu i o wyborze, powieść śmiała w sondażu często jeszcze wstydliwie traktowanych spraw narodowościowych. Przy okazji warto wspomnieć, iż ukazało się jednocześnie wznowienie „Siedmiu król Husty” tejże autorki, interesującej sąsiada Franza Winklera, potężna finansowego na Śląsku w XIX wieku, głośnego w swoim czasie z szokującego niejednych romansu z Maria Arezin. I tu konflikty polityczne przeplatają się ściśle z problematyką narodowościową.

Z lektur typu wakacyjnego trzeba wymienić wznowienie „Kwahi” Wacława Korabiewicza, jedna z najlepszych książek podróżniczych tego wielkiego włóczęgi, w nieustannej przygodzie na dalekich ładach odnajdującego największą pasję swojego życia. Relacja z Afryki Środkowej, niby reportaż, niby opowieść wciąż swoją fakturą, boącawem faktów, swoista wreszcie historiozofia autora, historiozofia na pewno do przytoczenia, bardzo współczesna.

Wiesław Wernic natomiast zapracował uczynić podarek dla młodzieży i ofiarował jej mocno westernowa opowieść „Tropy wiodą przez prerie”, sięgająca końca ubiegłego wieku, a więc walk i przemyśleń kolonizatorów i poszukiwaczy złota, więc Indian, bardzo szlachetnych i prawych, a więc strzelaniny, pościgów, czarnych i białych charakterów.

Z KSIĄŻKA NA TY

Ludzie zza kulis szklanego ekranu

Przemila twarz Edyty Wojtczak, wysmukłą sylwetkę Janę Suziną, lektorów Dziennika, redaktorów prowadzących popularne magazyny, każdy telewizor rozpoznaje bez trudu w największym tłumie. To nasi dobrzy znajomi „z widzenia”. Ale, podobnie jak w naszym życiu zawodowym czy prywatnym, mamy licznych telewizyjnych znajomych „z nazwiska”. Dokładniej — z plany pojawiającej się po każdej audycji. Informuje ona na zwłóczę: realizacja — pan X, kamery — pan Y, światło — pani Z, dźwięk, ilustracja muzyczna...

Na mostku kapitańskim

To oczywiście przenośnia, ale tylko jeśli chodzi o miejsce akcji. Mostek kapitański to pokój realizatorski znajdujący się nad studio, skąd przez szklaną ścianę można widzieć co się rozgrywa poniżej na obszernym placu boju, wśród fragmentów dekoracji, najróżniejszych machin, reflektorów, świateł umieszczonych na żelaznych szynach i innych nieznanym laikowi urządzeniach, osaczających zewsząd każdego, kto znajdzie się w ich zasięgu.

Głównodowodzący, realizator audycji, nie patrzy jednak w dół przez szybę. Ani na chwilę nie odwraca oczu od stojących przed nim w dwóch rzędach kontrolnych telewizorów ściśle monitorów. — Ani na chwilę nie opuszcza pulpitu przypominającego klawiaturę wyposażoną w pokaźną ilość przycisków. Obok, przy swoim zautomatyzowanym warsztacie siedzi realizator dźwięku, obserwując prace mikrofonów i studia. Słysząc miarowe obroty taśm magnetofonowych. Realizator światła także w gotowości bojowej.

Co to? Jeden z uczestników audycji wyraźnie „ślabnie”. Widać to w

telewizorze poglądowym. Jeden ruch palca głównodowodzącego realizatora zdejmuje go z wizji. Telewizor ogląda już inną twarz, za chwilę jakiś wykres, potem wszystkich rozmówców zgromadzonych przy stole w studio. Nie zdając sobie sprawy, że tak a nie inaczej dzieje się za sprawą realizatora, który jest między innymi montażystą audycji, spawającym w logiczną całość poszczególne ujęcia. Tu nie można ciąć i kleić po namyśle. Decyzja i wykonanie następują błyskawicznie i są nieodwracalne. Bitwa o jakość programu toczy się zawsze na oczach telewizora!

To jest sztafeta

Telewizja jest sztuką zespołową. Trudno określić gdzie się kończy czuła praca, a gdzie zaczyna się praca drugiego człowieka. — To słowa Jerzego Antczaka, naczelnego reżysera TV znanego z wielu znakomych spektakli.

Wiemy już co się dzieje na mostku kapitańskim, zajrzymy jeszcze na dół, do studia. Ekran pokazuje nam tylko mały wycinek, za stołem na tle dekoracji, kilku dyskutujących panów, albo dialog aktorskiej pary. Tymczasem wokół nich, za kulisami wyznaczonymi zasięgiem kamer, uwijają się, z niewiarygodną często zręcznością, niewidzialni żołnierze pierwszej linii. Wystarczy, by asystent kamerzysty dźwigający kabel, przesunął zwojem po podłodze, by operator mikrofonu zbliżył do zbliżył potężny żuraw, a już mielibyśmy niezamierzone dodatkowe efekty. Dodajmy, że kamery będące w dyspozycji TV pozostawiają wiele do życzenia i chyba tylko dzięki kawalerskiej fantazji naszych operatorów posłusznie wykonują rozmaite akrobacje na rozkaz głównodowodzącego.

By słowo stało się... audycja

Dział Realizacji TV, którym kieruje Marian Pysznik, skupia właśnie owych niewidzialnych. Ich praca nie ogranicza się tylko do bezpośredniego udziału w audycji. Realizator światła opracowuje uprzednio dokładny scenopis całego jej oświetlenia, mając na względzie wymogi „oka” kamery, charakter programu, rozmaite efekty wzbogacające intencje reżysera. Realizator dźwięku również przedtem dobiera wszelkie efekty mające towarzyszyć akcji.

Głównym instrumentem realizatora służącym do przeniesienia na ekran treści zawartej w scenariuszu, jest kamera. W kołach fachowych mówi się już nawet o polskiej szkole operatorskiej. Podporządkowana jej dyscyplinie kamera ma „oddychać rytmem aktora”, ma równocześnie wyłapywać telewidza do tego stopnia, by zgodnie z jego życzeniem wyłapywać te, a nie inne fragmenty obrazu. Bo — jak to powiedział naczelnym reżyser — telewizja jest sztuką zespołową ale wszystko co dzieje się na ekranie jest przeznaczone dla jednego widza. W tym kryje się owa intymność odbioru, nawet jeśli patrzymy na ekran w salce domu kultury.

Niech ci nadal drogi telewidzu, przyjemności nie mać świadomości, że gdy siedzisz wygodnie w fotelu, na mostku kapitańskim i za kulisami studio grupka „niewidzialnych” w największym napięciu walczą o najpełniejszy i najlepszy kształt ostateczny programu. Oni kochają tę pracę ryzykowną, zawsze pełną niespodzianek. Wystarczy, jeśli przeczytawszy ich nazwiska włączysz je do grona teleznajomych.

Akcja lato

Dokończenie ze str. 1

Kształtowanie sylwetki ideowo-moralnej dzieci i młodzieży nie dokonano się — jak jeszcze uważa wielu — przy pomocy słownego pouczenia. Zasadniczą rolę odgrywa w tej sprawie konkretne działanie w autentycznych sytuacjach, występujących w życiu. Moralność człowieka doby socjalizmu służy dobru społecznemu. Idzie zatem o wychowanie takiej jednostki, która nie będzie obojętna na krzywdę ludzką, będzie zdolna do współzycia i współpracy z innymi, dająca z siebie maksymalnie dużo na rzecz środowiska, szanująca pracę innych. Wszystkie te cechy doskonale może wykształcić pobyt na kolonii czy w obozie, gdzie w demokratycznie zorganizowanej grupie poprzez funkcje w samorządzie, prace społeczne dla środowiska, prace na rzecz kolonii czy obozu, dyżury, spotkania, dyskusje i pogadanki, uroczystości i zajęcia artystyczne — rozwija się wszechstronnie osobowość dzieci i młodzieży, kształtuje ich charakter.

Cele te jednak mogą być realizo-

wane tylko w warunkach, gdy cały zespół kierowniczy obozu czy kolonii doceni rolę samorządności dzieci i młodzieży. Samorząd musi być traktowany przez wychowawców i kierownictwo jako równorzędny partner. Niczego, co można zrobić przy udziale dzieci i młodzieży, nie powinno się robić bez nich. Ich współudział w podejmowaniu decyzji nie może dotyczyć wyłącznie spraw trzeciorzędnych, bowiem odpowiedzialności i troski o dobro ogółu można uczyć się tylko na tym, co jest dla ogółu dostatecznie ważne.

Refleksje nasuwające się na tle organizowanych w tym roku obozów i kolonii, są raczej pozytywne. Zrobiliśmy znowu krok naprzód w sposobie wakacyjnego wychowania. Świadczy o tym wyniki pierwszego turnusu obozów harcerskich i ZMS-owskich, hufców pracy ZMW i ZMS oraz kolonii i czasów — przynoszące wiele konkretnego dorobku. Nigdy nie jest jednak tak dobrze, aby nie mogło być lepiej. W sprawach wychowania zaś dążenie do ideału jest nieodzownym warunkiem pozytywnych osiągnięć.

BARBARA MOSIĘŻNA



CZTERDZIEŚTY CZWARTY

Tak zatytułował Zbigniew Żalusiński swój szkic historyczny, zamieszczony w dwutygodniku „Fakty i myśli”, w którym — w oparciu o kalendarz z sierpnia 1944 r. — dokonuje krytycznej oceny skuteczności i sensu wysiłku oręża polskiego w drugiej wojnie.

„...To była wielka wojna narodów Europy i całego świata. Wnieśliśmy swój wkład — jak niegdyś — we wszystkie bitwy i na wszystkich barykadach. Lecz czy ten wysiłek, w formie internacjonalistycznej, jest istotnie pomnożeniem naszego wkładu, czy też jedynie rozproszaniem naszych sił? Czy nie jest on skutkiem rozpadu polskiej drogi do wolności na drogi, dróżki na ścieżki — którymi się wprawdzie idzie, ale które prowadzą do nikąd?”

Stawiając następnie dalsze pytania, czy należało ładować pod Arnhem, czy człoićsi Maczka piwni bić się we Francji, Belgii i Holandii, czy należało bić się o Londyn, nad Kanalem La Manche, nad Hamburgiem i Bremą, pod Monte Cassino, pod Anconą? Żalusiński odpowiada: „Choć z ciężkim sercem, odpowiedzieć jednak wypada: należało. Należało, aczkolwiek cała ta kampania była bezzużyteczna — wojna i zwycięstwo mogły się znakomicie obejść bez desantu we Włoszech. Należało — ponieważ każda śmierć faszystów przyspieszała jednak koniec wojny. (...) Nasza wspaniała wszechobecność w wojnie, to przede wszystkim nasze uwikłanie w złożoną problematy-

kę wojny koalicyjnej, nieuniknione co prawda i potrzebne, ale także często — uwikłanie w układy sił międzynarodowych, dalekich od spraw dla nas, Polaków, najważniejszych. Uwikłanie paradoksalne, ponieważ w jego rezultacie Polacy w angielskich mundurach bronili Londynu, podczas gdy w polskich mundurach bić się o Warszawę musieli niejednokrotnie Rosjanie.

(...) Gdyby było inaczej — moglibyśmy mieć w sierpniu 1944 roku na przedpolach Warszawy nie 3 dywizje I armii, i nawet nie 3 dywizje I armii oraz 2 dywizje II Korpusu takie, jakie były się we Włoszech. Moglibyśmy mieć znacznie więcej — pełnokrwistą trzy — lub nawet czterokorpusną armię zahartowaną w walkach, doświadczoną, nasyczoną własnymi specjalistami. Moglibyśmy mieć to wszystko, co było niezbędne dla ocalenia Warszawy, dla rozwiązania tego jednego problemu, w skali wojny światowej, niewielkiego, ale dla nas najważniejszego.”

GOSPODARKA PO I PÓŁROCZU

Problem ten analizuje „Życie Gospodarcze” w komentarzu poświęconym komunikatowi GUS o wykonaniu narodowego planu gospodarczego za I półrocze br. Po dokonaniu analizy poszczególnych działów gospodarki narodowej „ŻG” stwierdza:

„Wiele elementów bieżącej sytuacji gospodarczej wskazuje, że rok bieżący zamkniemy pomyślnym bilansem. Będziemy zapewne mieli dobry punkt wyjścia do następnego planu 5-letniego. Niemniej w chwili, gdy plan ten jest skonstruowany, warto podkreślić, że byłoby niedobrze, gdyby planiści zbyt łatwo zasugerowali się pomyślnym rozwojem bieżącej sytuacji. Warto bowiem przypomnieć, że przyspieszenie dynamiki gospodarczej nastąpiło po okresie jej osłabienia, zwłaszcza w sferze inwestycji. W niektórych dziedzinach nadal występują napięcia, zwłaszcza w handlu zagranicznym i na rynku wewnętrznym. Dlatego też jest celowe, aby

zarówno w konstrukcji planu na rok następny, jak i całe przyszłe 5-letnie, mieć na uwadze potrzebę usunięcia bieżących trudności oraz ewentualnie mniej korzystnych warunków zewnętrznych niż te, które wystąpiły w ubiegłym i bieżącym roku.”

SZKOŁA 8. CZY 10-LETNIA!

Dyskusja na ten temat toczy się w gronie fachowców i na łamach czasopism specjalistycznych. Oryginalny i kompletny projekt formułujący koncepcję systemu oświatowego od przedszkola po szkołę średnią ogólnokształcącą i zawodową, sformułował w „Głosie Nauczycielskim” prof. Boadan Suchodolski. Drugi całkowicie oryginalny projekt systemu oświaty od szkoły podstawowej do licealnej opracowany został przez Mariana Falskiego i ogłoszony we „Wsi Współczesnej”. Piszcie o tym w „Polityce” Mikołaj Kozakiewicz w polemicznym artykule pt. „Skoro jest tak dobrze, dlaczego jest tak źle?”. Kozakiewicz przeciwstawia się Boadanowi Gołowskemu, który na tych samych łamach („Polityka” nr 27) twierdził, że nie ma u nas żadnych kontrowersyjnych dyskusji na temat koncepcji systemu oświatowego. Kozakiewicz w konkluzji swoich wywodów pisze:

„Nie ma w tej chwili ważniejszego i trudniejszego problemu, niż dokonanie obecnej reformy w ustalonych i przyjętych ramach 8-letniej. Co najmniej dwa najbliższe lata, zarówno entuzjastom, jak i przeciwnikom 8-letniej, wypadnie się ta reforma zajmować, choćby tylko dlatego, że się dokonuje, że się odbywa i nie jest obojętne, jak się odbywa. A co do koncepcji przyszłościowych wyraża się, że można i należy w trybie eksperymentalnym w wybranych powiatach wypróbować twórcze pomysły i projekty Suchodolskiego, i projekt Falskiego, i leżące w szufladach ZNP projekty 10-lat-

ki. Jest bowiem rzeczą niewątpliwą, że następna reforma oświatowa czeka nas nieuchronnie.”

Ten sam tygodnik w artykule Cezarego Papiernika analizuje „kleśkę urodzaju” mleka. Ponadto pismo w artykule Jerzego Burzyńskiego pt. „Straszne bariery” kontynuuje rozpoczęty w poprzednim numerze artykuł poświęcony inteligencji. A oto pytania i zażądania, na które autor usiłuje dać odpowiedzi: awans czy deklasa inteligencji; czy istnieje w tej dziedzinie nadprodukcja; co wyróżnia inteligenta od innych warstw społecznych; dochody i wydatki tej grupy; nowa inteligencja dziś.

Ponadto w „Polityce”: Witold Stankiewicz publikuje artykuł pt. „Ruch robotniczy, a ruch ludowy — próba wartości”, a Janusz Hellman i Andrzej Kraszewski w cyklu „Ludzie nie meble”, piszą na temat humanizacji pracy w zakładach przemysłowych.

W „Kulturze” polecamy artykuł Jana Zygmunta Jakubowskiego pt.: „Czy nowe perspektywy polskiej prozy?” oraz reportaż Wilhelmy Skulskiej z cyklu: „Szpital bez klamek” pt. „W kręgu psychozy”.

Trudne problemy psychiatrii porusza również Danuta Majewska w „Tygodniku Demokratycznym” w artykule pt. „Bez kółka na czole”.

Warto również zwrócić uwagę na drukowane na łamach „Służby Zdrowia” dokumenty, nadesłane przez Ministerstwo Zdrowia Demokratycznej Republiki Wietnamu, zatytułowane „Bomby przeciwko rodzącym”.

O kompleksie prowincji u absolwentów wyższych uczelni, którzy ciągle z dużym oporem podejmują pracę poza granicami wielkich miast — pisze Wiesław Nowakowski na łamach „Świata”.